

# Obrázky więzienne



MARIA KONOPNICKA

# Obrazki więzienne

## I. Podług księgi

Był dzień jesienny, cały złoty i modry od gasnącego słońca i cichej pogody. Około trzeciej po południu przed gmachem więziennym zatrzymał się wóz z kapustą.

— Bra-ma!... — Bra-ma!... — krzyknął przeciągle parobek, siedzący na nim w czerwonym lejniku<sup>1</sup> i samodziałowym<sup>2</sup> spencerze<sup>3</sup>.

Nikt się jednak z otwieraniem bramy nie kwapił.

— Bra-ma!... — krzyknął znów parobek i zaklął, bo mu się konie kręcić zaczynały.

Chwilę trwała cisza. Nikt bramy nie otwierał.

— *Nada głośniej*<sup>4</sup> — przemówił flegmatycznie żołdat<sup>5</sup>, stojący przed budką na warcie.

— Bra-ma!... — wrzasnął parobek z całej swojej siły.

— A prr!... A gdzie!... — dodał, ściągając batem lejcową<sup>6</sup>, która mu się zaplątała w półszorkach<sup>7</sup>. — Ażeby cię!

Zeskoczył po orczyku<sup>8</sup> na ziemię. Okręcił lejce na kłonicy<sup>9</sup> i pięścią jak taranem zaczął walić w bramę.

Rozległo się wielkie echo po sklepionym wnętrzu, przez długą wszakże chwilę nikt nie przybywał.

Zaczłapały wreszcie jakieś ciężkie kroki, a razem ze zgrzytem klucza, obracanego w zamku, dał się słyszeć głos cierpki i gniewliwy.

— Czego walisz! Czego walisz! Czego próżno pazury objasz? Jak mam otworzyć, to i bez twego walenia otworzę!

— A niechże was, z takim otwieraniem! A prr!... A prr... — wołał parobek, biegnąc znów do koni, które w bok z wozem skręciły.

Chwycił lejce i, wywijając batem nad końmi, wjechał w bramę, której wierzeje z loskotem uderzyły o ściany, a z bramy w podwórze do połowy woza. Nie mógł dalej, bo zawaliły mu w poprzek drogę skrzynie od kartofli. Zaopatrywano się na zimę i to spowodowało pewne zamieszanie w cichym zazwyczaj dziedzińcu więziennym.

Zamieszanie to żywo zajmowało aresztantów, wypuszczonych właśnie do ogródka na popołudniową przechadzkę. Właściwie mówiąc, nie była to przechadzka, ale raczej kręcenie się w kółko i popychanie wzajemne, gdyż miejsca bardzo mało, a więźniów stu przeszło. To, co się nazywało ogródkiem, także niewiele do ogrodu było podobne. W jednym z kątów podwórza, obudowanego dokoła murami więziennego gmachu, niskie drewniane sztachety grodziły szczupły kawałek gruntu, podzielony dwiema krzyżującymi się uliczkami na cztery równe prostokąty. Najdłuższa, załamana w rogach ogródka, drożyna biegła

Więzienie, Ogród, Więzień,  
Kondycja ludzka

<sup>1</sup>lejnik (daw.) — górna część munduru. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>samodziałowy — zrobiony z samodziału, czyli ręcznie tkanego lnu lub wełny. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>spencer (daw.) — krótka kurtka. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Nada głośniej* (z ros.) — Trzeba głośniej. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>żołdat (pogard.) — żołnierz, zwłaszcza rosyjski. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>lejcowa (daw.) — klacz, idąca w lejcach. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>półszorek (daw.) — rodzaj dawnej uprząży. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>orczyk — tu: drążek przy wozie, służący do zaczepienia pasów i łańcuchów od uprząży. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>kłonica — drąg, przytrzymujący drabiny albo skrzynię wozu konnego. [przypis edytorski]

pod sztachetami do furtki, na wprost której w przeciwnym kącie stała tak zwana altana, rodzaj okrągłej, przejrzystej, z wąskich deszczulek zbitej szopy, z czterema wewnątrz ławkami i podtrzymującym krokwie słupem.

Trochę młodocianych drzewek trzęsło w słońcu ostatkiem złotych liści, a choć nie było najłżejszego wiatru, liście te padały cicho na zarosłe zielskiem rabaty i ścieżki, twar- do stopami więźniów ubite. Przy zbiegu prostokątów stało parę krzaków bladoliliowych astrów, które zdawały się obracać gwiaździste swe oczy za tymi nędznymi postaciami, co się po uliczkach snuły.

Aresztanci chodzili po dwóch, po trzech, na piąty sobie niemal następując. Większa ich część miała piersi zapadłe i pochylone grzbiety, na których siwe więzienne kapoty wisiały jakby na kółkach.

Najcharakterystyczniejszą cechą więźnia jest jego postawa. Przy pewnej wprawie można po niej od pierwszego rzutu oka poznać długość odcierpianej kary, tak właśnie jak się po zębach wiek konia podaje.

Jednorocznym różni się pomiędzy sobą znacznie chodem, ruchem rąk i ramion, sposobem trzymania głowy i noszenia siwego kubraka, sztywnością szyi, nawet trybem wykręcania się na zawrotach drogi. Drugorocznym mają wszyscy nagięte grzbiety i kark jakby wylazły naprzód z kołnierza.

Różnice ruchów zaciera się pomiędzy nimi, najsilniejsi tylko zachowują właściwą sobie postawę jeszcze w trzecim roku. Po tym terminie wszyscy się upodabiają. Człowiek przestaje istnieć jako indywidualność, a zamienia się w cząstkę tej szarej, bezkształtnej masy, która się nazywa ludnością więzienną. Nogi więźnia stają się wtedy kablukowate i wątłe; ustawione przy sobie stopy rozwierają się pod kątem coraz prostszym; naprzód wygięte kolana drżą nieraz, widocznie, chód bywa ciężki, wlokący się, ruchy niedołężne, powolne, a ręce wiszą po obu bokach ciała jakby nadmiernie wydłużone i wyruszone ze stawów. Rzecz dziwna, przeobrażeniu temu podlegają głównie mężczyźni. Kobiety wszystkie prawie zachowują nienaruszoną odrębność swoją przez długie lata i dopiero najstarsze, po wielokrotnych powrotach dogasające tu aresztantki, ulegają niwelującemu wpływom więziennego życia.

Po ruchach i postawie idzie cera. Ta w pierwszym roku bywa blada, śniada, krwista nawet, podlega momentalnym zmianom zabarwienia i w ogóle ma silniejsze, cieplejsze tony. W drugim roku więdnie i żółknie bardzo szybko, skóra wątłeje i nabiera pergaminowej suchości i martwoty; w trzecim rzuca się na nią jakiś cień zielonkawy, zwłaszcza około uszu, ust i oczu; niekiedy barwa żółta, oleista cień ten przemaga, szczególnie na skroniach i czole, które się nieraz tak świeci, jakby napuszczone tłuszczem. W dalszych latach twarz więźnia staje się rozmiękła, przybiera barwę ziemistą i jest wybornym dokumentem do słów genezy, opiewających, iż człowiek ulepiony został z gliny i z mułu ziemi. Zmianom tym podlega większość kobiet na równi z mężczyznami.

Trzeciorzędną w charakterystyce zewnętrznej więźnia cechą jest wyraz oczu, spojrzenie. U pierwszorocznych bywa ono zwykle ruchliwe, latające, niespokojne, gorączkowe. Zapalają się w nim i gasną błaski niespodziane, iskry przelotnych wzruszeń, obaw, pomysłów, zalegają je cienie nagle, głębokie, z siwych czyniąc źrenice zielone, z modrych — czarne. W drugim roku źrenica więźnia blednie, mąci się, zeszkliwia i upodabnia do stojącej w błotnym dole wody. W trzecim matowość spojrzenia wzrasta z dniem każdym, oczy kołowacieją i jakby zaokrąglały się w orbitach, a z głębi ich wyziera ogólne zniedołężnienie albo zwierzęca złośliwość. Z biegiem czasu rozwija się to aż do idiotyzmu w jednym kierunku, aż do prawdziwie małpiej przebiegłości w drugim. Idiotyczne spojrzenie godzi się bardzo dobrze ze spleśniałą jakby cerą więźnia i zwykle z nią chodzi w parze. Bywają wszakże wyjątki, a kiedy w gliniastej, rozmięklej twarzy zagorzeją źrenice posepnym, czerwonym ogniem, zjawisko to bywa straszne i zwykle się kończy jakąś katastrofą.

Takim właśnie spojrzeniem palającym patrzył w otwartą, nieco widną z jednego kąta w ogródku bramę młody stosunkowo więzień, którego wszakże postawa i cera zdradzały dawnego już aresztanta.

Na oko widać było, że siedzi już najmniej cztery, pięć lat może. Musiała to być jednak organizacja wyjątkowo silna, gdyż prosty dotąd i sztywny kark unosił wysoko nad inne jego ogoloną i czarniawą głowę.

Więzień, Kondycja ludzka

Więzień, Kondycja ludzka,  
Ciało

Wzrok

Więzień, Wolność

W tej chwili więzień był pochylony nieco ku sztachetom; szeroko rozwarte nozdrza zdawały się wietrzyć powiew ulicy z niepohamowaną żądzą, na szyi pulsowały grube, napięte żyły, w półotwartych ustach widać było zęby drobne, ostre i niezwykle białe. Jedną z rąk wsunął za kubrak i koszulę na pierś, jakby chciał poczuć ciało żywe albo też przynieść garścią serce, wstrząsane silnym, głuchym biciem.

Drugą rękę wparł między sztachety, aby się łatwiej utrzymać na kabłąkowatych, widocznie w tej chwili drżących nogach.

Bacniejszy spostrzegacz poznałby z łatwością, że więzień przebywa ten punkt krytyczny, w którym cierpienie nie przełamało woli i energii, staje się na dłużej wprost nieznośne, niemożliwe. Potąd — a nie dalej — krzyczy coś w ludzkiej istocie, która doszła do takiego krytycznego punktu; a prawodawstwo kryminalne nigdy dość szeroko uwzględnić, nigdy dość baczenie rozpoznawać nie może tego momentu psychicznego.

Oparty o sztachety i wychylony z jakąś drapieżną pożądlivością na podwórze więzień znany był powszechnie pod nazwą Cygan.

Cyganem zwali go towarzysze, strażnicy, kancelaria, nawet w księdze, gdzie zapisywano zarobki, figurował pod tym nazwiskiem; z czasem zapomniano zgoła, czy miał jakie inne, a i on sam zdawał się nie pamiętać o tym. Ponieważ stanął, ci, co szli obok i za nim, stanęli także. Powyciągały się szyje, powznosiły ramiona, jedni się wspinali, drudzy szturchali stojących przed sobą, inni jeszcze przestępowali z nogi na nogę w miejscu, jak to czynią zamknięte w klatkach zwierzęta. Spojrzenia skupiały się w dwóch punktach. Jedni parzyli na wóz, konie i kapustę, drudzy na niańkę od pana sekretarza, która z uśpionym na kolanach dzieckiem siedziała w progu oficyny, kołysząc się z boku na bok i nucąc bezbarwnym głosem jedną z tych melodii, którym katarzynki szeroką popularność nadały. Tuż przy niej stała z szaflikiem<sup>10</sup> w rękę Janowa, kucharka, i także na wóz patrzyła. Nieopodal bawił się chłopak stróża. Wielkie głowy, jedne czubate, podługne, zielonkawe, z lekko postrzępionymi brzegami, zdawały się pękać i otwierać jak tulipanowe kielichy, nie mogąc powstrzymać naporu rozrosłych ośrodków swoich; inne lśniące, białe, płaskie, szczelnie srebrzysto żyłkowanym liściem obciągnięte, leżały na wozie ważne, ciężkie, świecąc z dala jak śnieżne kłęby i skrzypiąc jędrnie za każdym dotknięciem. Pomiędzy nimi tkwiły tu i owdzie na wysoko obnażonych głąbach lekkie i puste szafki z brunatno poplamioną powierzchnią, niewiele co warte i targu, do pełnych kop dodane.

Ci, co patrzyli na niańkę, nie mniej mieli piękny widok. Dziewczyna była młoda, rosła, a jej rozkwitłe kształty uwydatniała lekka perkalowa<sup>11</sup> spódnica i takiż kaftan. Ciężki żółtawy warkocz spadał jej nisko na kark, a mała różowa chusteczka nie pokrywała białej, lekko słońcem ozłoczonej szyi. Rytmiczny ruch, jakim się kołysała z boku na bok, dodawał jej jakby sennego wdzięku.

Cygan nie patrzył wszakże na niańkę, ani na kapustę. Gorejące jego oczy, zrazu w czeluściach bramy utkwione, obiegały teraz podwórze, oblatywały drzwi i okna w wewnętrznych murach więzienia, mierzyły odległość furtki od skrzyni i skrzyni od wozu, wreszcie wpiły się z jakąś dziką przenikliwością w twarz strażnika, który, bokiem do więźniów zwrócony, stał przed altaną i prowadził z kimś spokojną gawędę, brząkając od czasu do czasu kluczami na znak obecności i czujności swojej.

Tymczasem w bramę wjechał drugi wóz z kapustą.

— Jechać tam!... Jechać dalej!... — rozległo się wołanie.

Parobek w czerwonym lejniku, który dopiero czwartą kopę liczył, odwrócił się i huknął:

— A gdzie ci to pojedą?... Na łeb?... Nie widzisz, że skrzynia? Ślepyś?...

— Prrr... prrr... — dało się słyszeć w samym sklepieniu bramy, a wóz zatrzymał się w połowie drogi, że mu tylko koła na ulicy pozostały.

Obaj parobcy zaczęli teraz hałaśliwie deliberować, jak wykręcić skrzynię, żeby wozy mogły w podwórze wjechać.

— O laboga! — przemówiła nagle Janowa — tak mi się coś w oczach migło, jakby nasza świnia... A skocz no Józek do chlewiku, obacz, czy się maciora nie wywarła kędy... Ino duchem, na jednej nodze.

<sup>10</sup>szaflik — drewniane, okrągłe naczynie z uchwytemi. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>perkalowy — zrobiony z perkalu, cienkiego płótna bawełnianego. [przypis edytorski]

Chłopak w chwilę był z powrotem.

— Co się tam miała wyrzucić. Taka obżarta, że się ruchać nie może... Układła się w słomie i leży, a prosiaki przy niej jak pijawki wiszą.

— A tak mi się coś siwego migło między końmi. O tu! — pokazywała Janowa, stanąwszy w pobliżu wąskiego przesmyku, jaki między skrzynią a wozem pozostał.

— Przewidziało się Janowej i tyle — odrzekła niańka, podejmując na nowo swoją jednostajną piosenkę.

— Ale!... Co mi się miało przewidzieć? Przecie człowiek nie pijany. Jak Boga kocham, tak akuratnie między końmi coś siwego przeleciało. Pies nie pies, świnia nie świnia, żebyś tak zdrowa była.

W tej chwili strażnik rzucił okiem i nie zobaczył, górującej zwykle nad innymi, czarniawej głowy Cygana.

— Cygan!... Gdzie Cygan?... — wrzasnął, przeskakując do wpółotwartej furtki.

Aresztanci spojrzeli po sobie; Cygana nie było.

— A to musi nie co, ino ten ladaco świsnął bez bramę pod wozem — mówiła Janowa, klasnąwszy w dłonie. — Jak mi Bóg miły, takem go widziała. Ino mi się mignął... Jeszcze myślałam, że świnia.

— A żeby was najjaśniejsze!... — wrzasnął strażnik, chwyciwszy się za głowę.

W podwórzu sądny dzień nastał. Aresztantów spędzono w jednej chwili w korytarze, pogoń za zbiegiem rzuciła się w ulicę.

— Łapaj!... Trzymaj!... — rozległo się najpierw z bliska, potem coraz dalej, dalej.

O sto kroków może od więzienia leżał siwy kubrak, pod murem nieco dalej leżała czapka.

Nie było teraz wątpliwości, w którą stronę uciekł Cygan. Jakoż w chwilę potem Filip, ojciec Józka, zobaczył Cygana, jak w koszuli i w hajdawerach<sup>12</sup> leciał, jakby go wiatr unosił, ziemi ledwo dotykając stopami...

Okrzyknęła się pogoń ponownie, a zbieg pędził przed tym okrzykiem, jakby mu w dwoje tyle ręczności<sup>13</sup> przybyło.

Zła jego gwiazda trzymała go wszakże ciągle w prostej linii na oczach goniących. Biegł jak strzała szybko i jak strzała wciąż prosto przed siebie. To go zgubiło.

Okrzyki goniących dościgały go coraz bliżej, a przestrzeń, która go od nich dzieliła, zmniejszała się co chwila.

Wtem padł, a choć się w tejsze sekundzie niemal porwał z ziemi i znów pędził dalej, znać było, że siły jego bliskie były wyczerpania.

Biegł wszakże jeszcze chwilę, coraz wolniej, wolniej, nareszcie jakby sam czując, że nie ujdzie — odwrócił się nagle i stanął twarzą w twarz przeciw pogoni.

Był straszny. Oczy jak pochodnie, twarz trupio ściągnięta, zęby wyszczerzone jakby do kłaniania. Na ustach nieco krwawej piany. Filip dopadł pierwszy. Chwycił go Cygan za ożydla<sup>14</sup>, zaszamotał nim i cisnął o bruk jakby powięź<sup>15</sup> słomy. Za Filipem przypadli inni. Zbieg bronił się rozpaczliwie. Gryzł, darł, pięściami o łby grzmocił, kopał — był wściekły.

Aż go nasiedli w sześciu czy w siedmiu jak dzika, a obaliwszy na ziemię, zgnetli mu kolanami piersi, pokrwawili go, poszarпали na nim koszulę i tak zmordowali, że trzeba go było do więzienia na rękach nieść niby martwe brzemie.

Kiedy się ocknął w ciemnej<sup>16</sup>, cały drżący i mokry od wylanych na niego kubłów zimnej wody, zawołano go do kancelarii. Jeszcze wszakże pan nadzorca nie zdążył przysiąść i zapalić cygara, które miało mu służyć do umilania przykrej konferencji, jeszcze je ślinił, obracając w pulchnych palcach pomiędzy grubymi i pięknie zarysowanymi wargami, kiedy w progu stanęła pod przywództwem strażnika deputacja poważna, bo z samych recydywistów i najstarszych złodziei złożona.

Dwóch posługaczy trzymało tymczasem pod pachy Cygana, który ustać na nogach nie mógł, chwiały się cały i co chwila ocierał pot z bladej jak chusta twarzy.

Ucieczka, Więzień

Więzień, Walka, Bijatyka,  
Rozpacz

Więzienie, Kondycja ludzka,  
Pozycja społeczna, Władza

<sup>12</sup>hajdawery (daw.) — bufiaste spodnie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>ręczność — prędkość, szybkość. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>ożydla (daw., gw.) — kłapa surduta, sukmany czy kamizelki. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>powięź (daw.) — wiązka, pęto. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>ciemna — karcer więzienny. [przypis edytorski]

Pan nadzorca zmarszczył czoło i, wydawszy policzki, patrzył ku drzwiom pytającym wzrokiem.

Trzech z deputacji podstąpiło do zielonego stołu i pocałowało „wielmożnego” w rękę.

— A co to powiecie? — zapytał, udobruchany tą oznaką pokory, dygnitarz.

— A to dopraszamy się łaski wielmożnego pana — przemówił Wiewióra, przewodyr recydywistów, który już zęby zjadł na więziennym chlebie — co byśmy mogli Cygana sami bez się sądzić. Wszystkim on nam wstydu zadał i wszystkich przed oczami wielmożnego pana i ojca naszego w brudną koszulę oblókł. Nie będzie tera żadnej swobodności dla porządnego haresztanta i wszystko się skurczy. Dość już było ciężko (tu głośnie stęknienie pozostałych u drzwi deputantów), tera będzie jeszcze ciężej.

— Oj, co ciężko, to ciężko! — przerwał piskliwym głosem najbliżej stojący Żeglarek.

Drugie, jeszcze głośniejsze stęknienie deputatów u proga.

— Tak my przyszedli prosić i dopraszać się wielmożnego ojca i dobrodzieja, co byśmy mu karę sami wysądzieli, wedle naszego zrozumienia i po sprawiedliwości...

— No — przemówił wahająco pan nadzorca — dobrze to jest, ale cóż wy z nim myślicie zrobić?

— A zbić, wielmożny panie — odparł Wiewióra głosem szczerego przekonania o doskonałości tego środka. — Na takiego, wielmożny panie, gałgana, to nie ma jak bicie. A co on, wielmożny panie? To on pierwszy się tu popadł i będzie wszystkim zaproszenie oczów robił? Wielmożnego pana martwił? Ojca, matki nie szanował, więzienia nie szanował, to co na takiego jak nie baty?... On i porządnego bata niewart! Żeby jego choroba!

Tu splunął mówca, a retoryczna ta figura pobudziła deputatów do nowych wzdychań u progu.

Pan nadzorca bębnił palcami po stole. Był on w położeniu arcydelikatnym. Z jednej strony uśmiechało mu się takie zakończenie tej niemilej sprawy, z drugiej miał skrupuły co do legalności podobnego jej obrotu. Na szczęście przypomniał sobie, że czytał gdzieś niedawno, jako w Ameryce nieraz sami przestępcy wymierzają karę na swych towarzyszy. To go uspokoiło od razu. Owszem, nadało myślom jego bieg górny i wzniosły. Czuł się inicjatorem nowych idei w społeczeństwie, idei z Nowego Świata. Czuł się humanistą na wielką skalę.

Wydął tedy świeżo ogolone policzki, co uwydatniło piękny jego podbródek, i odsapnął kilka razy z zupełnym zadowoleniem.

Cygan tymczasem pochylił głowę na piersi i przyklnął zagasłe oczy. Wszystkie muskuły jego bolesnej twarzy drgały. Zdawało się, że jest bliski omdlenia.

— Dobrze to jest — powtórzył pan nadzorca — ale niechże kara nie będzie lżejsza od tej, jaką bym mu sam nazaczył.

Mówił to, aby coś powiedzieć. Przekonany był bowiem, że wydaje Cygana w ręce ciężkie i nieublagane.

— Niech już wielmożny pan na nas się ubezpieczy — pokłonił się Wiewióra. — Już my go tam tak oporzędzimy, co by mu się odechciało na drugi raz. Już my go...

Nie skończył. Pan nadzorca podniósł się z fotela.

— Jakub! — zawołał na strażnika — wyprowadzić go im na górny korytarz. Niech i insi posłuchają dla swojej nauki. A potem do mnie tu, do kancelarii, to mu sumienie roztrząsnę.

Jakub zwrócił się lewo w tył, pacholki popchnęli Cygana, a deputacja przystąpiła do ucałowania ręki „wielmożnego”, który teraz dopiero mógł swobodnie zapalić cygaro i przejrzeć dzienniki.

W chwilę potem na górnym korytarzu rozległ się krzyk ostry, przeciągły.

Władza, Więzień, Kara,  
Sąd, Hańba, Honor

Władza, Więzienie, Ironia

Kara, Okrucieństwo

Władza, Więzienie,  
Urzędnik, Sumienie

Jedną z najmilszych czynności pana nadzorcy było roztrząsanie sumień aresztanckich. Posiadał on cały zapas przemówień moralnych w wielkim religijnym i społecznym stylu, całą kopalnię przestróg wzruszających, cały skarbiec pięknie zaokrąglonych zdań i budujących maksym. Stanowiło to jego specjalność i przedmiot prawdziwego dyletantyzmu<sup>17</sup>.

<sup>17</sup>dyletantyzm — tu raczej w znaczeniu: zamilowanie. [przypis edytorski]

A czynił to wszystko z natchnienia, bez uprzednich przygotowań, improwizował po prostu. Przy improwizacji takiej sam bywał niezmiernie wzruszony, a drżący z lekka głos jego i oczy, mgłą wilgotną zaszele, pobudzały do skruchy wszystkich, którzy się już do winy przyznali.

Stąd uważany był za urzędnika prawdziwie użytecznego, a to uznanie zasług pobudzało go do nowych wysiłków krasomówczych.

Tym razem wszakże wymowa pana nadzorcy nie znalazła odpowiedniego zastosowania. Cygan bowiem zaraz po egzekucji swojej stracił przytomność, a potem wpadł w taką gorączkę, że go jeszcze tej samej nocy do lazaretu<sup>18</sup> przenieść musiano.

Leżał tydzień, leżał dwa tygodnie, pluł, kaszłał, kwękał, skarżył się, że go w piersiach, to w plecach, kłuje i wychudł strasznie. Zawłókl się nareszcie do swego tapczana i pochylony, zestarzały, więcej do cienia niż do człowieka podobny, pod numer poszedł. Ale tu pogorszyło mu się raptownie. Dostał dreszczów, gorączki, krew mu się ustami rzuciła, aż trzeciej coś nocy umarł nad ranem, nie obudzwszy ani jednym jękiem żadnego ze swoich sąsiadów.

Teraz dopiero zaczęto przebąkiwać, że Wiewióra zanadto mu „dolożył”. Młodszy zwłaszcza „frajery”, których zwykle recydywiści we wzgardzie i poniewierce mają, burzyli się po kątach.

— Jużci to nie po katolicku tak człeka zbić, żeby go aż ubić — mówił jeden.

— Przecie go nie ubili na piękne...

— Nie ubili na piękne, ale w nim wszystkie wątpia<sup>19</sup> het precz oberwali. To jakże miał żyć? Musiał umierać.

Tymczasem w kancelarii przygotowywano raport, jako taki a taki więzień na gorączkę czy też febrę umarł. Właśnie podyktował był pan nadzorca powyższe słowa pomocnikowi swemu, kiedy ten rzekł:

— Kiedyż mu się wyrok miał skończyć?

— Tak na pamięć nie można wiedzieć — odparł „wielmożny” — ale przecież to wszystko podług księgi idzie. Jakub, podaj no księgę!

Podał Jakub czarno oprawny wolumin, a pan sekretarz przerzucać go zaczął.

— A to co? — zawołał nagle i podniósł wzrok na pana nadzorcę, wskazując palcem datę.

Pan nadzorca spojrział niedbale przez ramię. Spojrzął i, raptem zerwawszy się z fotela, utkwiał przerażone oczy w twarzy pana sekretarza. Chwilę trwało to milczenie, podczas kiedy tych dwóch ludzi przenikało się wzajemnie wzrokiem.

— Tam do licha! — zawołał wreszcie pan nadzorca, zapomniawszy zupełnie o obecności Jakuba. — A toć się jemu wyrok skończył blisko na dwa tygodnie przed ową ucieczką...

Stał jeszcze chwilę i patrzył osłupiały przed siebie.

— Diabli go wiedzieli! — wykrzyknął wreszcie, rzucając się w fotel.

I nie było już więcej o tym mowy.

Przez parę wszakże następnych tygodni drzwi kancelarii nie zamykały się prawie. Od samego rana pukanie pod numerami.

— Czego tam? — pyta niecierpliwie strażnik.

— Otwierać no! Otwierać! Muszę iść do kancelarii.

— A co tam? — pyta pan nadzorca wchodzącego aresztanta w towarzystwie strażnika.

— A to, proszę wielmożnego pana, przyszedłem się dowiedzieć wedle wyroku, bo może mi się już skończył.

— Cóż znowu! — mówił zmieszany „wielmożny”. — Przecie masz w wyroku dwa lata, a siedzisz dopiero półtora.

— Tak ci to niby jest, wielmożny panie, ale chciałbym wiedzieć dokumentnie<sup>20</sup> według księgi...

Pan nadzorca przygryza czerwone, pełne wargi, żeby nie wybuchnąć.

Po chwili znowu ta sama historia. Za kwadrans — znowu. Dziewięciu, piętnastu, dwudziestu wali naraz we drzwi, wszyscy wołają strażnika, wszyscy chcą iść do kancelarii.

<sup>18</sup>lazaret — szpital wojskowy lub więzienny. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>wątpia (daw.) — wnętrze. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>dokumentnie — dokładnie. [przypis edytorski]

Więzień, Choroba, Śmierć

Więzienie, Władza,  
Urzędnik, Prawo, Strach,  
Krzywda

Jakub biega od numeru do numeru, krzyczy, prosi, traci głowę, nareszcie najciekawszych prowadzi do kancelarii.

— Proszę wielmożnego pana, przysłiśmy się dowiedzieć wedle wyroków, bo może już się nam pokończyły...

— Idźcie do diabła z waszymi wyrokami! — krzyczy w ostatniej pasji pan nadzorca.

— A to człowiek nawet spokojnie odetchnąć nie może.

Było to właśnie po obiedzie.

— Ale my chcieli zobaczyć księgę. Ja umiem czytać.

— I ja...

— I ja...

Pan nadzorca czuje się złamany. Każe Jakubowi podawać księgę, pokazuje palcem daty, tłumaczy. Aresztanci kręcą głowami z niedowierzaniem. Jeden z nich udaje, że czyta. Wychodzą wreszcie, aby powrócić jutro, pojutrze, za tydzień. O biedny Cyganie! To była twoja pomsta!

## II. Jeszcze jeden numer

— A to? — zapytałam, kiedyśmy doszli do końca więziennego korytarza, gdzie w głębi widać było drzwi na klucz zamknięte.

— To — odrzekł, zakolysawszy się lekko, nadzorca — to jest jeszcze jeden numer.

Rozmowa miała miejsce za pierwszej bytności mojej w więzieniu, kiedyś jeszcze nie wiedziała, że się tu o nic pytać nie należy.

Co zobaczysz, usłyszysz, zauważysz, w powietrzu chwycisz — to twoje, ale daremnie byś pytał o cokolwiek. Nie dlatego, żeby ci kto w odpowiedzi miał pozostać dłużny. Broń Boże. Ale da ci taką odpowiedź, że z niej nic wycisnąć nie potrafisz.

Mury tu za to mówią, zwierzają się ściany, w długich korytarzach słychać szept stłumiony. Kto za tym głosem iść może, dochodzi czasem bardzo ciekawych rzeczy.

Nie znaczy to bynajmniej, aby z ludźmi tutejszymi mówić nie było warto. Owszem. Ale w rozmowie takiej trzeba uważać baczenie na dwie rzeczy. Na to, czego ci nie mówią, i na to, o czym za dużo mówią. Gadatliwość bowiem służy tu często ku tym samym celom, co i milczenie, a kancelaryjna władza jest jak gdyby obliczona na zatarcie jakichś cichych głosów, o których nie wiedzieć, czy są słowem czy westchnieniem. Toteż przy zwiedzaniu więzienia szczególniej złudzeń słuchowych wystrzegać się należy.

To, co tu jest do zobaczenia, krótkowidz dojrzeć może, ale tylko subtelne ucho dosłyszcy to, co dosłyszec trzeba.

Najważniejszą ku temu przeszkodą jest uprzejmość samego zarządu. Gdy wejdiesz, a raczej, gdy się przekonają, że wejścia twego uniknąć niepodobna, stajesz się natychmiast przedmiotem niesłychanej, ojcowskiej niemal pieczołowitości i prawdziwie rycerskich względów. Sam „wielmożny” wybiega do przedsionka cię witać, sam cię do kancelarii wprowadza, sadowi, uśmiecha się, zaciera dłonie i zapewnia, że jest z przybycia twego najszczęśliwszy. We wszystkim tym, co mówi, znać pewne roztargnienie. Przewraca papiery, szuka kluczy od biurka, skinieniem ręki odprawia strażnika, zaledwie stanął we drzwiach i usta otworzył, przy czym oczy jego odbywają szybki, sumaryczny przegląd kancelarii. Zapytuje się wreszcie, czy całe więzienie chcesz zwiedzić. Odpowiadasz skromnie, że zastosujesz się do woli i czasu pana nadzorcy. W tej chwili oczy jego uspokajają się nieco, wolniej oddycha; głos ma równiejszy, ruchy nie tak nerwowe.

Naturalnie, któż by się trudził zwiedzaniem wszystkiego! On sam ci pokaże, co jest najciekawsze. Wyda tylko pewne dyspozycje. Od chwili gdy zaczął mówić, słyszysz ociężałe kroki w korytarzu. Odgłos ten irytuje „wielmożnego” widocznie. Marszczy czoło, uśmiechając się do ciebie, i rzuca w stronę korytarza skośne, urwane spojrzenia, mówiąc głośniejszy, niż tego wymaga potrzeba. Wybiega wreszcie, nie przerywając rozmowy aż do chwili naciśnięcia klamki, przy czym śmieje się krótkim, przymuszonym śmiechem.

Na progu ogląda się jeszcze. Znać, że rad by się rozdzielić: i tu zostać, i tam być koniecznie. Wychodzi nareszcie, a ty zostajesz sam.

Więzienie, Więzień, Obraz  
świata, Kondycja ludzka

Więzienie, Władza, Fałsz



Jeśli jesteś nowicjuszem w obserwacji, przyglądasz się wielkim księgom, rozłożonym na zielonym suknie długiego stołu, szafom wypełnionym papierami, plikom aktów po kątach rzuconych i wspianemu przyciskowi, który leży na najwidoczniejszym miejscu. Zatrzymujesz wreszcie wzrok na czarnym krucyfiksie i Chrystusie z kości słoniowej i jakieś błogie ciepło napelnia ci piersi.

Jeżeli zaś nowicjuszem nie jesteś lub jeśli oczy twoje instynktem widzą, gdzie w takich biurach iść i czego szukać, to przede wszystkim patrzysz na wytartą i jakby wyżłobioną licznymi stopami podłogę w progu, na szczupłe oszalowanie, tworzące nieopodal od wejścia rodzaj wpół przyćmionego i ciasnego kojca, gdzie się dają „widzenia”, wreszcie spoglądasz na pokryte grubą warstwą kurzu książczyny, które leżą kupkami na oknie, widocznie rzadko bardzo poruszane.

W tej chwili wraca „wielmożny”. Jednym rzutem oka obejmuje sytuację i kierunek twego spojrzenia.

— Ach, to? — mówi, uśmiechając się skromnie. — To biblioteczka nasza... Początek, zaród biblioteczki... Zniszczone to, bo ciągle w ruchu — dodaje, biorąc w rękę tomik, z którego się sypie kurz i wręcz słowom jego zaprzecza.

Zbliżasz się, przyglądasz, wreszcie, chcąc mieć wyobrażenie o całości, zapytujesz, jakie też w tej chwili książki są w czytaniu. Okazuje się, że w tej chwili, właściwie mówiąc, żadnych książek w czytaniu nie ma. Cały „zaród” na oknie leży pod warstwą pyłu. Dowiadujesz się przy tym, że te „szelmy” strasznie wszystko niszczą i że gdyby im tylko książki dać do ręki, to „oho!”.

Dowiadujesz się także, że z więźniami w żadne rozmowy wdawać się nie warto, bo wszyscy kłamią; że on sam, „wielmożny”, cudów tu dokazał, że go aresztanci jak ojca kochają, że wydatki są ogromne, że roboty ręczne postępują wzorowo, że wreszcie, co do moralności więźniów, to się tu nic zrobić nie da, bo to zatwardziałe dusze, z którymi czego on sam nie zrobił, tego już nikt nie zrobi!

Ale może byś chciał najpierw zobaczyć ogródek? Nie? Wolisz gmach oglądać? Naturalnie, każdy ma swój gust. Chociaż ogródek jest ciekawy, bardzo ciekawy. W inspektach<sup>21</sup> są już nawet rzodkiewki. A gdy to „wielmożny” mówi, oczy jego biegają po twojej twarzy z niezmierną szybkością. Gdyby mógł, przebiłby się na wylot spojrzeniem. Wchodzi wreszcie strażnik i w milczeniu staje w progu. „Wielmożny” rzuca na niego wzrok pytający. Strażnik skłania głowę. W tej chwili pan nadzorca zaczyna rozmowę o pogodzie, wypowiedziawszy kilka zupełnie uzasadnionych poglądów na jej stan obecny, i nagle przerywa sobie od niechcienia pytaniem, czy zyczysz już zacząć swoje oględziny. Pytanie to postawione jest z mistrzowską obojętnością.

Naturalnie okazujesz zupełną gotowość. Strażnik drzwi otwiera, wychodzisz, a za tobą wychodzi „wielmożny”.

Okazałbyś się pełnym gburem, gdybyś nie pochwalił czystości schodów i korytarzy w tej samej chwili, w której uderzy cię na nich woń stęchła i o mdłości przyprawić mogąca. Nie skłamięsz. Podłogi są istotnie czyste.

Na schodach spotkasz więźnia, czołgającego się na czworakach ze skorupą w rękę, którą skrobie stopnie.

Zobaczywszy „wielmożnego”, więzień zrywa się, opuszcza ręce, staje pod ścianą, przylepiając się do niej, spłaszcza, maleje, w mur wsiała niemal.

Nie przychodzi mu to z trudnością. Jego ogolona głowa, twarz szara i siwy kubrak odbijają od muru ledwo słabym tonem. Wyżej spotkasz dwóch jeszcze. Niosą oni dość duży ceber<sup>22</sup>, przez którego uszy przechodzi drązek. Ta sama mdła woń, silniejsza tylko, bucha na ciebie z cebra. To obiad. Stajesz wreszcie na górnym korytarzu w oddziale, przypuścmy, kobiecym. Tu strażnik zatrzymuje się i, wysunąwszy wielki klucz, spogląda na „wielmożnego”. „Wielmożny” macha ręką na znak, że mu wszystko jedno. Po czym każe otwierać nr 9. Wchodzisz wzruszony, coś ściska cię w gardle, coś ci mgłą oczy zasłania. W pierwszej chwili nie czujesz nawet charakterystycznej mdłej woni, która tu jeszcze się wzmaga. Aresztantki otaczają „wielmożnego”, całując go w ręce. Starsze wytaczają przed nim różne sprawy, młodsze uśmiechają się, mizdrzą, nastawiają, stroją dziwaczne miny.

<sup>21</sup>inspekt — płytka skrzynia, oszklona z góry, służąca do uprawy roślin. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>ceber (daw.) — duże, okrągłe naczynie, zrobione z klepek. [przypis edytorski]

Książka

Więzień

Więzień, Kondycja ludzka,  
Pozycja społeczna

Więzień, Kobieta, Władza,  
Kondycja ludzka, Pozycja  
społeczna

„Wielmożny” klepie je po ramieniu, grozi im palcem na nosie, zapytuje to o tę, to o ową. Wywołane po imieniu, wychodzą z kątów; kilka z nich ma głowę głęboko spuszczoną.

Tymczasem zjawiają się inne, spod dalszych numerów, które strażnik otworzył także. Te są śmielsze jeszcze. Na ciebie patrzą z ciekawością, szyderczą niemal, i trącają się łokciami. Wreszcie czynią to samo wszystkie inne, pchają się, pociągając nosami i wzdychając głośno. Jeśli której zapytasz o co, odpowiada za nią sam „wielmożny”, który też z właściwym sobie pięknym, okrągłym gestem przedstawia ci niektóre „bardzo porządne aresztantki” tudzież tłumaczy urządzenia izby, widoczne zresztą i bez tych objaśnień.

— Ot, tu mają okno — mówi na przykład — tu piec, tam tapczany...

Kierując twoją uwagę, mówi bardzo głośno i bardzo obficie.

Gdy wzrok zatrzyma się dłużej na jakiej twarzy lub na jakim kącie, „wielmożny” niepokoi się natychmiast, mruga oczyma, podchodzi i pokazuje ci szydełkową robotę, wyjętą z ręki jednej z aresztantek. Jest przy tym psychologiem.

— To nic ciekawego — szepce, krzywiąc wzgardliwie usta, skoro dojrzy żywszy błysk w twoim spojrzeniu — zwyczajna złodziejka!... Niewiele nawet skradła, nie oplaciło jej się...

Macha ręką i uśmiecha się gorzko. Po dziesięciu minutach spogląda ku drzwiom. Ma już tego dosyć. Ale nie byłby sobą, gdyby pominął tak wyborną sposobność do budującego przemówienia.

Podnosi tedy głowę, podaje pierś naprzód i, zatrudniwszy białe palce pięknej swej ręki brelokami:

— No — mówi — bądźcie zdrowe! Widzicie oto, że są osoby litościwe, które was odwiedzają, które chcą widzieć, co robicie, jak się sprawujecie. Dla takich osób powinnyście czuć wdzięczność.

Tu przerywa mu głębokie, z kilkudziesięciu piersi jednym przeciągłym jękiem idące, westchnienie, bardzo zresztą podobne do tego „a!!!”, które w kościolkach wiejskich słychać podczas podniesienia<sup>23</sup>. Aresztantki rzucają się do ciebie, całują twoje ręce, twoje suknie, twoje nogi.

—...wdzięczność — kończy „wielmożny” — którą najlepiej możecie okazać przez dobre sprawowanie się. No jakże? Będziecie się dobrze sprawowały?

Powtórnie, głośniejsze jeszcze, „a!!!” napelnia izbę, przy czym aresztantki rzucają się do „wielmożnego”, całując jego ręce, poły jego surduta<sup>24</sup>, jego buty, jego kolana i — audyencja skończona. Ta sama ceremonia odbywa się jeszcze pod dwoma lub trzema numerami, po czym idziesz oglądać lazaret<sup>25</sup>, przez który przeprowadzają cię z niezmierną szybkością do warsztatów, gdzie z progu rzuca się okiem na szewców i krawców, do kuchni, gdzie „wielmożny” bierze od kucharza warząchew i proponuje ci skosztowanie porcji dla chorych — zdrowi już jedli, wreszcie wychodzisz do ogródka, w którym wolno ci zabawić dłużej nieco, gdzie dostajesz parę kwiatków albo próbujesz, obraną uprzejmie przez pana nadzorcę, rzodkiewkę i skąd powracasz do kancelarii.

Tu „wielmożny” okazuje ci żywe zainteresowanie się twoim zmęczeniem. Proponuje ci tedy z całą uprzejmością, że jeśli zechcesz jeszcze kiedy ponowić swoje odwiedziny — przeczuwa, niestety, że możesz to zrobić! — to on nie będzie już cię trudził chodzeniem po schodach, tylko tu do kancelarii każe sprowadzić parę z „ciekawszych” aresztantek, a ty będziesz mógł z nimi pogadać i „wplynąć na nie”.

Spodziewam się, iż masz tyle sprytu, że nie odrzucasz wręcz tej propozycji.

Już się do odejścia zabierasz, kiedy pan nadzorca, który na chwilę był wybiegł, powraca i prosi cię na wszystko, abyś do mieszkania jego wstąpić raczył, abyś nie gardził... Wymawiasz się zrazu, potem idziesz. Na wstępie spotykasz stół nakryty do śniadania. Obok kredensu aresztant z podrosłymi nieco włosami i w cywilnym ubraniu przeciera talerze. Z głębokiego półmiska kurzą się flaki, obok piwo i wino. Na próżno się upierasz, na próżno zapewniasz, żeś niegłodny. Pan nadzorca sam ci na talerz nakłada, a napelnivszy kieliszki, pije twoje zdrowie.

Po śniadaniu prowadzi cię do salonu. Tu przede wszystkim dane ci jest podziwiać stoliczek, zrobiony na imieniny przez więźniów, na stoliczku bukiet z chleba tejsze fabryki,

<sup>23</sup>podniesienie — część mszy, następująca po konsekracji. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>surdut — długa, dwurzędowa marynarka, noszona dawniej przez mężczyzn. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>lazaret — szpital wojskowy lub więzienny. [przypis edytorski]

Więzień, Kobieta, Władza,  
Więzienie

Jedzenie

pod stoliczkiem laurka w ramach, za szkłem, a na niej powinszowanie od aresztantek, zaczynające się słowami: „Jako to słońce, co świeci na niebie...”. Na drugiej ścianie druga laurka przeszłoroczna, nad fortepianem trzecia. „Wielmożny” ma całą galerię tych interesujących pamiątek. Oglądasz ich pięć, sześć, dziesięć, ale nie możesz obejrzeć wszystkich.

Żegnasz się wreszcie, gospodarz ściska twoje ręce, wyprowadza cię do sieni, do schodków do powozu, którego drzwiczki sam zamyka za tobą.

Jeśli w drodze konie cię nie poniosą i karku nie skręcisz, znaczy to, że nie wszystkie, choćby też najszczęśliwsze, życzenia ludzkie Opatrzność spełnić pospiesza.

Łatwo pojąć, że choćbyś zrobił sto podobnych wizyt, pożytek z nich będzie taki właśnie, jak gdybyś na ulicy, przed więziennym gmachem stanąwszy, murom się jego przyglądał.

Na szczęście masz więcej cierpliwości niżli pan nadzorca, a także więcej czasu.

Długo wszakże trzyma się to w mierze.

Za drugiej, za trzeciej bytności twojej taka sama scena w kancelarii, tak samo „wielmożny” prowadzi cię na schody i pod numery, takie same miewa z powodu przyjscia twojego kazania i tak samo zaprasza cię na flaki.

Aż zdarzy się wreszcie, że go odwołują na drugi koniec korytarza, gdzie się pierzarki<sup>26</sup> pobiły, a ty zostajesz sam na pięć, na dziesięć minut. Innym znów razem zatrzymuje się „wielmożny” lub wybiega dla rozprawy z dostawcą grochu i sadła. Jeszcze innym wypadają właśnie „widzenia”. Co w takich razach jest najpociesniejszego, to usilne przeprosiny jego, że cię musi „na chwilkę samego zostawić”. Tak, na chwilkę tylko. Ale byłbyś bardzo niezręczny, gdybyś z chwilek takich skorzystać nie potrafił.

Drogą, na której tu wszystko zrobić można, jest droga powściągliwości i umiarkowania. Przede wszystkim nie należy niczym i nigdy wzbudzać nieufności w strażniku. Zostałeś sam, ale ani głos twój, ani spojrzenie, ani ruch nie powinny być na jotę inne niż przy panu nadzorcy. Po wtóre nie należy strażnikowi nigdy ofiarować żadnych datków. On powinien wiedzieć, że masz prawo tu przychodzić i że otwieranie ci numerów nie zależy wcale od jego grzeczności i łaski, którą byś potrzebował opłacać. Jedynym gruntem, na którym tu silnie stanąć można, jest grunt najściślejszej legalności. Żadnych szeptów, żadnych intryg, żadnych konszachtów! Tym tylko sposobem dojść możesz do tego, że pan nadzorca przestanie za tobą biegać, a strażnik, spostrzegłszy cię, pochyli głowę siwą i pójdzie wprost na schody otwierać ci numery.

Skoroś to zdobył, wygrałeś.

Najpilniejszą teraz sprawą będzie wyrównanie tego sztucznie wzniesionego poziomu, na jakim stosunek twój do więźniów postawiły przemowy pana nadzorcy.

Wchodzisz tedy cicho, spokojnie, jakby do miejsca wspólnego pobytu. Zdejmujesz, kapelusz, rękawiczki, a pozdrowiwszy aresztantki, siadasz pomiędzy nimi na ławce, nie pozwalając, aby przerywały swoje zajęcia, i zaczynasz z nimi najpotoczniejszą rozmowę. W rozmowie tej unikasz jak ognia wszelkich ogólników moralizatorskich, wszelkich wzdychań na temat zepsucia, obrazy boskiej, śmiertelnych i powszednich grzechów. Nigdy też nie wypytujesz, ale zwracasz się do której z młodszych kobiet, dowiadujesz się, jaką robotę wykonywa najwprawniej, oglądasz wyplatanie krzesel, szycie, haft, dzierganie, przychylając się do robotnicy i nie odbierając jej roboty z ręki, przez co okazujesz szacunek dla jej czasu. Przy tej sposobności pytasz o imię, nigdy zaś o nazwisko, które i tak ci sama aresztantka powie, pytasz o wiek, o rodziców, o rodzeństwo; wyrażasz przy tym skromnie domysł, że pewno tęsknią do niej, przez co podnosisz ją we własnych oczach, czyniąc komuś drogą, słowem, zachowujesz się z aresztantką w taki właśnie sposób, jak gdybyś zgoła nie w więzieniu ją poznał, ale w domu lub w warsztacie.

Nie zwracasz nigdy uwagi na rzeczy wstydzące młodą dziewczynę, jak np. obcięcie włosów i brzydki czepiec więzienny. Przy zadzierzgiwaniu tych pierwszych, tak subtelnych, a tak silnych węzłów wzajemnej ufności pomijasz prawie zupełnie chwilę obecną, zajmując się przeważnie przeszłością aresztantki i jej nadziejami na przyszłość, które musisz zatlić tam, gdzie ich nie ma, a podtrzymywać i kierować nimi tam, gdzie się chwieją i gasną.

Ironia

Więzień, Kobieta, Praca

Nadzieja

<sup>26</sup>pierzarka (daw.) — kobieta zajmująca się darcie pierza. [przypis edytorski]

Nie posługujesz się nigdy w tej pierwszej chwili takimi pytaniami i odpowiedziami, które by zarówno do niej, jak i do dziesięciu innych stosować się mogły; mówiąc z nią, o jej tylko los się troskasz, nią tylko jesteś zajęty, jej tylko oddany. Z szarej, bezbarwnej masy ogólnego przestępstwa i ogólnej kary wydobywasz zainteresowaniem się swoim indywidualność ludzką. A to jest twoim najwyższym zadaniem. Na usługi swoje musisz mieć wyborną pamięć, wielką delikatność uczuć i łatwość stawiania się w różnorodnych psychicznych stanach.

Zwykle w numerze znajduje się małe dziecko. Czasem bywa tego po dwoje, po troje.

Bierzesz je od matki na ręce, dajesz mu jakiś przyniesiony ze sobą kawałek bułki, trzymasz je na kolanach lub kołyszysz, jeśli jest senne. Matka, która nieraz przeklinała jego istnienie, uśmiecha się, widząc to, i jest wzruszona. Jeśli dziecko było tym razem brudne i zaniedbane, niech cię to nie zraża. Za drugą bytnością twoją znajdziesz je z pewnością wymyte i w czystej koszulce.

Poruszasz się, mówisz i czynisz to wszystko z pełnym spokojem. Owszem, głos twój jest raczej cichy niż donośny. Ci, co się zrazu skupiają dookoła, aby cię słyszeć, garną się później do ciebie, aby cię słuchać!

Innym razem zapytujesz aresztantek, ile ich jest ze wsi. Bywa ich zwykle połowa w każdym numerze. Pytasz tedy o okolice, o nazwy wiosek, o byt gospodarzy, o warunki dawnego życia. Korzystasz przy tym z bieżącej pory roku, aby mówić o siewach, o grabieniu siana, o żniwach, o kopaniu kartofli, o obróbce lnu, o tkaniu i bieleniu płótna, o pieśniach, śpiewanych przy wspólnej pracy na polu i w chacie. Jeśli to jest niedziela, mówisz o kościele wiejskim, o dzwonach, co zwołują na Anioł Pański<sup>27</sup>, o suplikacjach<sup>28</sup>, które lud cały śpiewa, o krzyżu przydrożnym, który dziewczęta ubierają w kwiaty, o święceniu ziół, o pasterce, o rezurekcji<sup>29</sup>...

Zrazu każda aresztantka ma coś do powiedzenia. Wkrótce wszakże głosy milkną, a po kątach słychać szlochanie i wycieranie nosów w grube więzienne fartuchy. Zapytujesz wtedy, czyby one nie chciały — ponieważ tam właśnie wszyscy się modlą — odmówić z tobą pacierza?

Zamiast odpowiedzi większa część klęka, wzdycha i bije się w piersi. Nie zwracasz uwagi na te, które stoją, i odmawiasz głośno, z wolna *Ojcze nasz*<sup>30</sup>, *Kto się w opiekę*<sup>31</sup> albo *Święty Boże*<sup>32</sup>. Gdy skończysz, spostrzegasz, że klęczą wszystkie prócz Żydówek, a i na tych znać powagę chwili.

Wzajemnych skarg, plotek, opowiadań o cudzych przestępstwach nie dopuszczasz nigdy. Nigdy też, nawet w najpoufniejszej rozmowie, nie dopytujesz się o rodzaj i stopień winy. Twoim tryumfem będzie dowiedzieć się o tym od płaczącej u kolan twoich lub na piersiach twoich aresztantki, a to w takiej rozciągłości i z takimi szczegółami, jakich żadne śledztwo dobyć by z niej nie zdołało nigdy.

Gdy się to stanie, możesz iść na flaki, pić zdrowie i oglądać laurki „wielmożnego”. Zrobiłeś swoje.

Z miesiąc coś może po owej pierwszej mojej bytności w więzieniu znów mi wypadło przechodzić przez korytarz, w którego głębi był... „jeszcze jeden numer”. Stary Jakub, idący tym razem przede mną, zatrzymał się nieco, obejrzał, zażył tabaki i, zmrużywszy lewe oko, jak to miał w zwyczaju, zapytał zniecka:

— A widziała też pani „Dzika”?

— Nie, nie widziałam — odrzekłam spokojnie. — A cóż to za „Dzika”?

— A licho ją wie, proszę łaski pani. Dzika i Dzika. Tak tu na nią wołają.

— Cóż to, aresztantka?

— Iii — odrzekł Jakub, machnąwszy ręką — taka niby dokumentna aresztantka to ona nie jest. Ale że ją tu trzymają wedle papierów.

Poruszył się i szedł dalej, to drepcąc parę kroków, to przystając i biorąc tabakę.

<sup>27</sup>*Anioł Pański* — katolicka modlitwa maryjna. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*suplikacja* — katolicka pieśń błagalna. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*rezurekcja* — uroczyste nabożeństwo wielkanocne, połączone z procesją. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*Ojcze nasz a. Modlitwa Pańska* — najstarsza modlitwa chrześcijańska. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*Kto się w opiekę* — polska pieśń religijna, autorstwa Jana Kochanowskiego (1530–1584), będąca poetyckim przekładem Psalmu 91. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*Święty Boże a. Trisagion* — hymn pochwalny na cześć Trójcy Świętej. [przypis edytorski]

Dziecko

Modlitwa

Obcy, Kobieta, Więzień

Naraz odwrócił się znowu.

— Bo to, proszę łaski pani — mówił, zniżywszy głos nieco — jak była ta wojna, niby turecka<sup>33</sup>, to insze panowie oficerzy nawieźli różności z tamtych tam krajów. Psy nie psy, konie nie konie, fuzje<sup>34</sup> nie fuzje, Murzyny nie Murzyny, aż jeden sobie i pannę przywiózł. Od rodziców ją, powiadali, namówił czy coś. Tak mieszkał on tu z tą panną w mieście jakieś czasy, aż potem musiał z wojskiem na trawę ciągnąć, na wieś. A już mu się ta panna uprzykrzyła. Jak mu się też uprzykrzyła, tak on, co robiący, do wójta na onej wsi melduje tak a tak, co tu się taka a taka znajduje bez papierów. Ano dobrze. Jak on ją do wójta melduje, tak wójt ją łapać. Pobił ją tam on wójt, poturbował, bo się nie dała brać i strasznie do oczów skakała, aż ją tu do nas przywieźli. Jak ją do nas przywieźli, tak my ją zamknęli pod czternasty... Tam, gdzie Walera, proszę łaski pani.

— Wiem, wiem.

— Jak my ją pod czternasty zamknęli, tak jej się zara w głowie zaczęło psuć, że ino ciągle chodziła, rękami wymachiwała i cości gadała a gadała, ale po jakimu, to nikt nie mógł wiedzieć. Bez to my ją i Dziką przewiali, że to i takiej czerniawej urody była przy tym... To znów jak na nią przypadło, to się ciągiem śmiała. „Cha, cha, cha! Cha, cha, cha!”. Aż się, bywało, tak zmorduje, że się o ziemię jak drewno ciście i targa, że aż się człowiekowi coś dzieje słuchając. A włosy, proszę pani, to ma takie, że choć z nich bicze kręć na cztery konie... To jak ona tak się śmieje i płacze, to jedna i druga do niej z pięścią... A nie będziesz cicho, ty taka, ty owaka! Buch raz w kark, buch ją drugi raz. Ano dobrze! To taki nieraz, proszę łaski pani, wrzask był w korytarzu, że zwyciężyć nie było można... Aż też ją „wielmożny” tu przesadził i tak tera siedzi.

— Tu, pod tym numerem.

— A tu... Tera ją *fotografowali*, co jej *fotografiją* mają posyłać do tamtych krajów, co by się kto do niej przyznał, rodzice albo kto... Bo to młode, z osiemnaście lat temu, nie więcej.

— I wy tam do niej chodzicie?

— A chodzę. Co nie mam chodzić? Ino że się z nią nijakiego rozmówienia nie ma. Jak tam nieraz człowiek wejdzie, a odezwie się ot tak, po dobroci, to się namarszczy, aż jej się te brwie zejda..

W tej chwili doszliśmy do drzwi. Jakub klucz przekręcił w zamku i puścił mnie przed sobą.

Izdebka była niewielka, o jednym zakratowanym oknie, bielona jak wszystkie numery. Pod oknem stał czarny stolik, na nim cynowa miseczka więzienna z nietkniętym jeszcze krupnikiem. Pod ścianą, na lewo od wejścia, tapczan taki, jakie tu w lazarecie są w użyciu. Na tapczanie, twarzą do ściany, leżała na wypchanej słomą poduszce; małe nóżki w podartych, niegdyś wykwintnych trzewiczkach widać było spod jasnej, lekkiej sukni, której wesołe barwy dziwnie odbijały od tego dnia zimowego, od brunatnej więziennej kołdry.

Chociaż drzwi skrzypnęły dość głośno, Dzika nie poruszyła się z miejsca, tylko, dłonią twarz zasłoniwszy, głębiej się w poduszkę wcisnęła.

Dopiero kiedy Jakub do stolika podszedł i zapytał, czemu obiadu nie je, uniosła się nieco na łokciach i odwróciwszy głowę, palającymi oczyma na niego spojrzała. Oryginalnie piękna była jej twarz śniada i niezmiernie wynędzniała, ale szlachetnie skrojona. *Brwie* — jak mówił Jakub — silnie ściągnięte, schodziły się niemal czarną, wąską linią, usta jej drgały.

Chwilę patrzyła tak na strażnika z wielką jakąś wzdargą, mrużąc ogniste oczy, aż zdławionym, hamowanym widocznie głosem wyrzuciła z piersi kilka gniewnych i szorstko brzmiących wyrazów w nieznanym mi języku...

Nagle wzrok jej padł na mnie i odbił ogromne zdumienie. Powolnym, jakby zawstydzonym ruchem odgarnęła z twarzy włosy, spuściła nogi, poprawiła suknię i podniosła się, nie zdejmując ze mnie coraz głębszym cieniem zachodzących oczu. Postać jej była gibka, szczupła i składna.

<sup>33</sup>*wojna turecka* — prawdopodobnie chodzi o wojnę rosyjsko-turecką (1877–1878) pomiędzy Imperium Rosyjskim a Imperium Osmańskim; *Obrazki więzienne* zostały opublikowane w 1897 r. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*fuzja* (daw.) — tu: długolufowa ręczna broń palna z zapalnikiem skalkowym. [przypis edytorski]

Patrzyłam na nią z niezmiernym współczuciem. Co do Jakuba, ten wyniósł się dyskretnie i drzwi za sobą przymknął.

— *Au nom de Dieu, Madame!*<sup>35</sup> — wyszeptala wtedy Dzika, przyciskając do piersi obie ręce kurczowym jakimś ruchem — *au nom de Dieu*.

Chciałam coś mówić, ale nagle drzeć zaczęła, przymknęła oczy i, szukając ręką oparcia, padła w tył na tapczan, uderzyła w ścianę głową i zanosła się wielkim płaczem...

— *De Dieu... de Dieu.. de Dieu...* — łkała, nie mogąc wymówić nic więcej. A tuż zaraz chwycił ją spazmatyczny i niepowstrzymany śmiech, przy którym te powracające na usta jej wyrazy miały jakieś okropne, tragiczne znaczenie. Trwało to może kwadrans, a może i dłużej, w którym to czasie na próżno usiłowałam uspokoić Dziką. Rozpięłam jej stanik i, zmaczawszy chustkę w dzbanku, położyłam ją na drgającym sercu biednej dziewczyny. Siadłam potem przy niej, objęłam ją i przycisnęłam głowę jej do piersi. Po śmiechu przyszło łkanie, rozdzierające zrazu i rozpaczliwe, potem coraz cichsze, coraz cichsze, aż się rozplynęło w westchnienia. Zmrok zapadł już zupełnie, kiedy Dzika głęboko zasnęła.

Wtedy jej głowę złożyłam na poduszce, otuliłam ją kołdrą i wyszłam cicho na palcach. Nie opodal ode drzwi stał Jakub. Spojrzał na mnie, pokiwał głową, zmrużył lewe oko i zażył niuch tabaki.

### III. Onufer

#### I

Już miałam wychodzić, kiedy Jan Zaparty, z pierwszego piętra, wpadł do kancelarii.

— Proszę „wielmożnego” — zawołał zdyszany, robiąc „front” u progu. — Pod piątym rewolucja! Osmolec tak tłucze Onufra, że go oderwać nie można.

— Co to nie można! — krzyknął pan nadzorca, zrywając się z fotela. — Ruszaj po Jakuba, ciemnego, kiedy sam rady dać nie umiesz, i przyprowadź mi tu ich obu! Natychmiast! Słyszał?

— Słyszał! — odrzekł wyprostowany w kij strażnik i zniknął za progiem.

„Wielmożny” stał jeszcze chwilę twarzą ku drzwiom zwrócony, ze zbiegniętymi brwiami na pięknym, białym czole. Oczy mu się paliły, krew podeszła do skroni, w całej postaci znać było gniewne wzburzenie. Po chwili wszakże opanował się, odsapnął, a rzuciwszy przez zęby: „cymbał”, siadł i zaczął gładzić pulchną, błyszczącą pierścieniami ręką sinawy, gładko wygolony podbródek, przegarniając bujne faworyty<sup>36</sup> na prawą i na lewą stronę. Mitygował się<sup>37</sup>, ale znać było, że mu to przychodzi z trudnością. Nie lubił, aby sprawy podobne wybuchaly wobec trzecich osób, rzucił mi też z fotela swego kilka szybkich, ukośnych, dosyć cierpkich spojrzeń.

Tymczasem w korytarzu rozległ się odgłos ciężkich kroków, a do kancelarii wszedł starszy strażnik, Jakub, inaczej świętym Piotrem<sup>38</sup> dla kluczy, którymi zwykle brząkał, zwany, popychając przed sobą drobnego, jak kogut nastrzonego więźnia z suchą, czarniawą twarzą i zuchwałymi oczyma, po których przelatywały złote i czerwone ognie. Dość było spojrzeć na niego, aby poznać, że gorący jest jeszcze od bójki, z której go wyrwana. Pięści miał zaciśnięte, na czole żyły jak postronki, kolana pod nim drżały, nozdrzami prychał, a ostre, rzadkie zęby błyszczały mu spomiędzy warg jak u brytana<sup>39</sup>.

Za Jakubem wszedł olbrzymi chłop w siwym, więziennym, szeroko na piersiach rozrwanym kubraku, z wielkim, głęboko między ramiona wciśniętym łbem golonym. Twarz miał dużą, ospowatą, mocno obrzękłą, a cała jego wielka, ciężka, skurczona w sobie postać przypominała wołu, ogłuszonego uderzeniem obucha.

Więzienie, Walka, Bijatyka

Więzienie, Władza,  
Urzędnik, Gniew

Więzień

<sup>35</sup>*Au nom de Dieu, Madame!* (fr.) — W imię Boga, Pani! [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*faworyty* (daw.) — bokobrody. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*mitygować się* — powstrzymywać się od gwałtownych, pochopnych reakcji. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*święty Piotr* a. *Piotr Apostoł*, a. *Szymon Piotr* (zm. 64/67) — jeden z dwunastu apostołów, pierwszy biskup Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*brytan* — duży pies, używany dawniej do walk. [przypis edytorski]

Gdy wszedł, owinięte szmatami nogi zgiął w kolanach, łokcie w tył za siebie wysunął, a trzymając w obu rękach na obnażonej, rudo zarosłej piersi swoją aresztańską czapkę bez daszka, oczy w podłogę wbił i zaczął trząść wielką, wciśniętą w kadłub głowę.

Chłop był młody, trzydzieści lat może nie miał, ale zniszczony był strasznie. Żarło go coś widocznie i krew z niego ssała. A nie było to owo powolne, charakterystyczne wyniszczenie, jakiemu podlegają dawni więźniowie i recydywiści, ale jakaś nagła i niepowstrzymana ruina, od której pomimo ogromnej budowy swojej tak zetlał, że wydawało się, iż potrącony palcem padnie na ziemię i w proch się rozsypie. Twarz jego nie była ani bezmyślnie tępa, ani też ponura, ale leżała na niej jakaś niezgłębiona troska i wielki, wielki, niewyciężony strach; a lubo<sup>40</sup> obrzękła od razów, jakie jej świeżo Osmólec zadał, znać było, że wyrazu swego nie zmieniła, że go miała przedtem i mieć będzie potem, zawsze, zawsze. Zaciętości niedawnej bójki ani śladu. Parę razy, owszem, spojrzął olbrzym na Osmólca tak, jakby mu był wdzięczny za to, że go przed sobą widzi. Była to szczególna postać, która mnie zaciekała mocno.

Konwój zamykał Zaparty, a okrągłe, silnie wytrzeszczone oczy jego świadczyły o natężeniu mózgownicy ku spełnieniu rozkazów „wielmożnego”.

— Osmólec — rzekł pan nadzorca silnym swoim, dźwięcznie wibrującym głosem. — Ty co znów? Doigrać się chcesz?

Mały, czarniawy więzień wystąpił ku środkowi i odrzekł śmiało:

— A nic, proszę „wielmożnego”...

Już po tym jednym ruchu i po tonie mowy poznałam, że to recydywista, stary, szczywany ćwik<sup>41</sup>.

„Wielmożny” patrzył też na niego z pobłażaniem, jakie tu tylko dawnych i dobrze znanych aresztantów udziałem bywa.

— Jak to nic? Co tam za rewolucję pod numerem robisz?

— Ja ta nijakiej rewolucji nie robię, tylko mi poszło o spanie. Spać każdy musi.

Przygasł już w sobie, ale mówił jeszcze ostrym, świszczącym głosem człowieka zmęczonego bójką. Czuł też, widać, że słuszność przy nim, bo patrzył bystro, wprost w twarz „wielmożnego”. „Wielmożny” zmarszczył czoło i, zwróciwszy się do strażnika, zapytał ostro:

— Zaparty! A co tam znów za nieporządku w spaniu?

Wyprostowany strażnik głębiej jeszcze brzuch wciągnął w siebie, szerokie piersi wystawił, but do buta przystosował, przelknął ślinę i, szybko mrugając wytrzeszczonymi oczami, rzekł:

— Nie pokazało się tam żadnego nieporządku, wielmożny panie!

— Nie pokazało! — powtórzył po nim zuchwale Osmólec, przekrzywiając głowę i mrużąc lewe oko. — A skąd to pan strażnik wie, że się nie pokazało?

— Jezu! Jezu! — jęknął nagle po dwakroć Onufer i podniósł wzrok błędny przed siebie.

Nikt wszakże nie zważał na to, a Osmólec tak mówił dalej:

— Niech no by pan strażnik choć jedną noc nocował na mojej pryczy, to by mu się zara pokazało!

Na twarzy olbrzymiego Onufra wybiła wielka męka. Głowa jego trzęsła się coraz silniej. Osmólec całkiem się tymczasem do Zapartego zwrócił.

— A ja panu strażnikowi powiem, że kiedy tutaj siedzę, to jestem *kazienny*<sup>42</sup> *harestant* i wygodę swoją muszę mieć, bo tu na mnie wszystko z kazny<sup>43</sup> idzie! I jadło, i mundur, i spanie, i wszystko z kazny na mnie idzie! Wie pan strażnik?

Mówił to, zwrócony twarzą do strażnika, ale oczyma zuchwale ku „wielmożnemu” błyskał. Tę taktykę stawiania zarzutów przez elewację<sup>44</sup> znałam doskonale. Używali jej zazwyczaj doświadczeni więźniowie i to z powodzeniem. Jakub, stary strażnik, znał ją widać równie dobrze, gdyż obojętnie patrzył w okno, niuchając ukradkiem tabakę, ale

Więzień, Rozpacz,  
Cierpienie, Kondycja  
ludzka, Strach

Władza, Urzędnik,  
Więzień, Więzienie,  
Konflikt

<sup>40</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>ćwik (daw.) — doświadczony, przebiegły człowiek. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>kazienny (daw.) — skarbowy, skarbnik. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>kazna (daw.) — skarb, kasa. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>elewacja — tu: podniesienie, wywyższenie. [przypis edytorski]

Zapartemu złość po twarzy kipiátkiem<sup>45</sup> szła. Nie patrzył on wszakże na Osmólca, tylko jak w tuza<sup>46</sup> oczy w „wielmożnego” wlepił, przekazując mu niby to wszystko, co od Osmólca usłyszał. „Wielmożny”, głęboko zasunięty w fotel, brwi miał lekko zbiegnięte i palcami podług zwyczaju po stole bębnił; piękne jego czy podnosiły się przy tym i spuszczały długim, powłóczystym spojrzeniem.

Zdawać się mogło, iż wywodów Osmólca przez roztargnienie tylko słucha, a myśl ma zajęta innymi, stokroć ważniejszymi sprawami.

I ta kancelaryjna taktyka obca mi nie była. Wyznać nawet muszę, że przyniosła ona pewne, dość znaczne korzyści, a mianowicie pozwalała wyświetlić się sprawie bez nakładu osobistego badania pomiędzy możliwymi zarzutami, możliwość zaś taką zawsze przewidywać należało, a władza stawiała mur ochronny, niejednokrotnie dla powagi tejże władzy konieczny; wreszcie bagatelizowała, że tak powiem, sprawę samą w oczach osób trzecich, wypadkowymi i niepożądanymi świadkami jej będących.

Najkomiczniejszym było to, że każdy z aktorów tego przedstawienia znał doskonale role wszystkich innych i że pomimo to sztuka ta odgrywała się z całą powagą, należną wielkiemu zielonemu stołowi, urzędowo żółtym ścianom, zapyłonym stosom papierów oraz innym akcesoriom biurowym.

— A po drugie — mówił dalej Osmólec — człowiek trzeci raz już tu, chwalić Boga, siedzi, to wie, co do czego jest przynależące. Co złodziejstwo — to złodziejstwo, a co zbójnictwo — to zbójnictwo! W jednym insza polityka, a w drugim insza polityka. *Kuźdy* ma swój *honor*! I pan strażnik ma swój *honor*, i ja mam swój *honor*. Kiedym ukradł, to ukradł, to swoja rzecz, to mi nie pierwsze! A z takim zbójem świętokrzyskim<sup>47</sup> graniczyć mi nie potra! Pan strażnik dobrze wtedy na trzeci bok się wywrócił, kiedy Onufer jak zapomniały po nocach się ciska, żeby jego choroba utłukła! Onegdaj<sup>48</sup> a to świecę szewcom od łojenia<sup>49</sup> porwał i jak gromnicę przy pryczy palił. Jeszcze kiedy całe *posiedzenie*<sup>50</sup> het precz z dymem puści!

Zmarszczył się „wielmożny”, głowę uniósł nieco i spod brwi, nasuniętych gniewnie, na Zapartego spojrzał. Strażnik stał wyprostowany i również w twarz „wielmożnego” patrzył. Co do starego Jakuba, ten z wielką uwagą obserwował szmat pajęczyny, wiszącej nad piecem, i dwa palce w tabakierce trzymał. Była to sytuacja nieocenionego komizmu pełna.

— A dziś — mówił Osmólec, obtarłszy usta wierzchem ręki — to tak jęczał bez caluszką noc, jakby jego kto rznął! Niestrzymane rzeczy! Człowiek, jak się układzie, to by i spał, bo ma ze wszystkim czyste sumienie; a taki *duszegub*<sup>51</sup> i *dysperak*<sup>52</sup> to i sam nie śpi, i drugiemu nie da! Ino światło zgaśnie, zara stęka, że coś przed nim stoi? Ja za nim palki nie nosi! Człowiek, chwalić Boga, swój wyrok ma i za swój siedzi, a do inszych to mu ta nic! Żebym ja miał nad każdym zbójnikiem stękać, to bym się dawno rozpukł!

— Jezu! O Jezu! — glucho znów jęknął Onufer, ale nikt nie zważał na to.

Osmólec zaś tak rzecz swoją kończył:

— A pan strażnik kiedy taki mądry, to niech Onufra na osóbek<sup>53</sup> wytransportuje, to pod numerem nijakiej rewolucji nie będzie! Bo tam same porządne ludzie siedzą i już! Wie pan strażnik?

Nastawił się i aż w biodrach przysiadł. Przechodziło to widać miarę zwykłej bezczelności, bo stary Jakub splunął w bok i z szelestem ślinę butem zatarł.

— No, no! — zawołał, marszcząc czoło, pan nadzorca. — Nie bądź taki rezolutny! To ty nie wiesz, że za bijatyki *ciemna*<sup>54</sup>? Jeśli ci się krzywda dzieje, to masz kancelarię! Masz mnie! A samemu sobie sprawiedliwości robić nie wolno!

Więzienie, Noc, Sen,  
Cierpienie

Więzienie, Kara

<sup>45</sup>*kipiátek* (daw.) — wrzątek. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*tuza* — osoba na wysokim stanowisku lub o wysokich kompetencjach. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*zbój świętokrzyski* — prawdopodobnie nawiązanie do postaci regionalnego zbrojnika, Jaśka Ozgi. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*onegdaj* (daw.) — dawniej, kiedyś. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*łojenie* (daw.) — smarowanie czegoś lojem. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*posiedzenie* — tu: wszyscy zgromadzeni w danym miejscu. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*duszegub* (z ros.) — zabójca dusz, bandyta, morderca. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*dysperak* a. *desperak* (daw., gw.) — człowiek trudny we współżyciu, nieznośny. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*osóbek* (daw.) — odosobnienie. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*ciemna* — karcer więzienny. [przypis edytorski]



Osmólec rzucił spode łba na „wielmożnego” szybkie, zadziwione spojrzenie. Tego tonu nie spodziewał się, widać. Nie brał widocznie w rachubę mojej obecności. Po twarzy jego przemknęło najpierw zaniepokojenie, a potem szybka decyzja. Podszedł do fotela i ucisnął „wielmożnego” za kolana.

— A cóż to wielmożny pan — mówił wzruszonym głosem — mało się nad nami naturbuje, namęczy, żebym ja za lada głupością<sup>55</sup> do kancelarii latał i wielmożnego pana fatygował? A czy mi to wielmożnego pana zdrowie niemile albo co? A to by mnie Pan Bóg za to ciężko skarzał! Toć wielmożny pan nade mną ojciec i opiekun najukochańszy! Żeby nie wielmożny pan, to by ja był ze wszystkim sierota!...

Tu nos w palce wytarł i chlipać począł! Zapatrzył się na niego Jakub, a tak był przejęty mistrzowskim wykonaniem tej sceny, że, tabakę w palcach trzymając, nie niósł jej do nosa.

— Ani ja ojca, ani ja matki, ani żadnego przyjacielstwa! — chlipał Osmólec. — Hu! hu! hu!... Bóg tylko jeden nade mną na niebie, a drugi wielmożny pan na ziemi, hu!... Hu!... Niech ta dziesięć razy bez dzień na mnie strażnik skarży, hu! hu! hu!... A ja ojca swego i wielmożnego opiekuna, i dobrodzieja swego nie będę o lada co turbował, hu! Hu! Ja wielmożnego pana tak kocham jak dziecko matkę!... Hu! Hu! Hu!... Bo mi wielmożny pan za matkę stoi i za wszystkie majątności! Hu... Hu...

Mówił szybko, płaczącym głosem, spode łba tylko zerkając, jak mu się ta sztuka udaje.

— Dosyć! Dosyć już! — przerwał pań nadzorca z ojcowską surowością w głosie.

Osmólec jednak chlipać nie ustawał.

— Wielmożny pan mnie słuchać nie chce, hu... Hu... Hu... A ja bym wielmożnemu panu nóżki umył i brud wypił, hu! Hu!... Jak ja stąd wyszedł na jesień, hu! Hu!... Tom sobie rady nie mógł dać bez wielmożnego pana! Żeby mi srebro, złoto dawali, żebym w aksamitach chodził, to bym bez wielmożnego pana żadnego wskórania nie miał!... Hu! Hu! Hu!... Hu!... Dopiero, jakem się tu powrócił, a wielmożnego pana zobaczył, hu! Hu!... To mi tak było, jakbym się na świat drugi raz narodził... Hu!... Hu!... Hu!... A wielmożny pan za moje kochanie... Hu! Hu! Hu!...

Aż mnie dziw brał, że pan nadzorca tak długo Osmólcowi gadać pozwolił, ale przypomniałam sobie, że, sam krasomówca, w bystrej mowie się kochał i obrotnego języka rad słuchał.

Tymczasem Osmólec plackiem na podłogę padł i buty „wielmożnego” całował, chlipiąc głośno.

— No, no! Bez tych czułości — rzekł miększym już głosem pan nadzorca.

— Ostatni raz ci daruję, pamiętaj! Jak tobie nie wstyd nawet, takiemu staremu, porządnemu aresztantowi, co już trzeci raz tu siedzi i przykładem dla innych być powinien, za łby się z frajerami wodzić! Nie spodziewałem się tego po tobie! Zawsze cię do porządnym ludzi liczyłem, a ty mi taki zawód, taki wstyd robisz! Pfe! Martwisz mnie!

— Hu! Hu! Hu!... — beczał Ósmólec, plackiem na podłodze leżący. — Ja bym dla wielmożnego pana krwi z małego palca utoczył! Ja bym wielmożnemu panu śmiertelny grzech powiedział! Ja wielmożnego pana tak kocham, że się we mnie wnętrzości od żalu pękają, jak wielmożny pan się na mnie gniewa! Hu! Hu! Hu!...

— No, dosyć już, dosyć — rzekł, podnosząc go łaskawie, pan nadzorca. — Ruszaj pod numer i żeby mi tam było spokojnie! Rozumiesz?

— Rozumiem, wielmożny ojciec i opiekunie najukochańszy! Rozumiem!

Podniósł się Osmólec, stęknął, pociągnął kilka razy nosem, pięścią wytarł oczy, w których jakoś łez nie było widać, i ku progowi się cofnął.

Zaparty, wyprężając tymczasem kolejno wszystkie swoje mięśnie, zdołał nareszcie przybrać jak najbardziej poprawną, w stylu kancelaryjnym, postawę. Istotnie, wyglądał on jak epileptyk w napadzie tęcza. Oczywiście już nawet nie mrugał, bo mu kołem, wpatrzone w twarz „wielmożnego”, stanęły.

Stary Jakub miał je za to do połowy zmrużone, jakby, znudzony znanym widowiskiem, usypiał; głowa mu też nieco z karku zwisała, co go czyniło podobnym do starej szkapki, która, lubo w zaprzęgu, z lada przystanku korzysta, aby łeb stary zwiesić i zdrzemnąć na chwilę. Co do pana nadzorcy, ten był promieniejący i poglądał na mnie z pogodnym

Łzy, Więzień, Urzędnik,  
Sierota, Falsz

Ironia

<sup>55</sup>głupota (gw.) — głupstwo, głupota. [przypis edytorski]

tryumfem, rad widocznie, że aresztant tyle sprytu i polityki okazał, a jego jasne, piękne oko zdawało się mówić:

— A co? Tak u nas! Szaleją po prostu za mną ci hultaje!

A tam, u progu, z wbitymi w podłogę oczyma stał tymczasem olbrzymi Onufer, w siwym swoim rozerwanym kubraku, coraz silniej cisnąc czapkę do szerokiej, obnażonej piersi. Tęgo, co się dokoła niego w kancelarii działo, zdawał się nie widzieć i nie słyszeć wcale: głową tylko na obie strony chwiał i brwi na żółkłym i zorany przedwcześnie czole wysoko podnosił, jakby się dziwił czemuś i czymś przerażał w sobie. Po czym znów nagle trząść się zaczynał i stękał jak ciężko chory człowiek.

Osmólec, przechodząc koło niego, rękę w kułak ścisnął i wysuniętym knykciem wielkiego palca w biodro go pchnął. Wielki Onufer ocknął się i spojrzął na niego zmałym wzrokiem, na jego twarz śmiertelnie stroskaną nie wybił się najmniejszy ślad niechęci. Po czym zaraz oczy wbił w ziemię i brwi nad czołem w niezmiernym zadziwieniu podniósł.

— A cóż ty tam! Nie ruszysz się? — przemówił po małej pauzie pan nadzorca. — W ziemię wrosłeś czy co?

Szturchnął go ponownie Osmólec.

— Dalej go! Będiesz tu jak drąg stał, kiedy nasz wielmożny ojciec i opiekun najukochańszy do ciebie gada! A padnijże do nóg pańskich! A podziękujże wielmożnemu panu!

Ale Onufer, zamiast ku fotelowi podejść, jak stał, tak na kolana u drzwi runął, a podniósłszy obie ręce trząść nimi zaczął, wołając zdławionym głosem:

— Ani drgnął! Ani zipnął, chudziasek! Inom go raz... I ani drgnął! Ani tchu nie puszcii! O Jezu! Jezu! Jezu!...

Rękami nad głową splasnął, palce splótł i czołem o podłogę z głuchym łoskotem uderzył, a ogromny, do ryku podobny jęk wstrząsnął żółtymi ścianami kancelarii. Pan nadzorca cofnął się od stołu z fotelem, chociaż go prawie cała długość pokoju od Onufra dzieliła, i przybladł nerwowo. Był wrażliwy i nie lubił scen, przechodzących miarę zwykłego, łagodnie roztkliwionego liryzmu.

Widząc to, Osmólec znów kilka kroków ku środkowi postąpił i, pochylając się z miną zaufańca, rzekł:

— I nie bydlę to, proszę wielmożnego? I to tak bez caluskie noce idzie! Świętemu by cierpliwości brakło!

— Ani drgnął... Ani zipnął!... Jak ten ptak... Jak ten ptak... — głuchym, zduszonym rykiem powtarzał Onufer. — O moje dziecko, moje dziecko! O Jezu! Jezu! Jezu!

Twarcz pana nadzorcy zachodziła złowrogim cieniem. Palce jego coraz szybciej po poręczy fotela bębniły, a brwi zbiegły mu się nad gniewnymi oczyma groźne i drgające.

Chwilę trwało milczenie.

Zaparty, który przy runięciu Onufra na kolana wyszedł był nieco z „frontu”, znów się wyprężył do niemożliwości, a stary Jakub szyję z niebieskiej, obwiązującej ją chustki wysunąwszy, głowę ku „wielmożnemu” podniósł i nozdrza nastawił.

Tak zmyślny wyżeł patrzy w oczy panu, rychło powieką mrugnie albo palcem ruszy.

— Do *ciemnej* go! — zakomenderował „wielmożny”.

W jednej chwili zerwał się Onufer na klęczki i ręce do „wielmożnego” wyciągnął:

— Panie! — zawołał. — Panoczku! Panie *miłosierdny!* Różgami sieć kaźcie, język zakneblujcie, strawę odejmijcie, ręce i nogi zakujcie, ale do *ciemnej* nie sadźcie! Nie sadźcie do *ciemnej*, panie *miłosierdny*, bo on tam z każdego kąta na mnie patrzy... Panoczku *miłosierdny*, nie sadźcie.

Na szeroką, obrzękłą twarz jego wystąpił wyraz śmiertelnego strachu, zaciśnięte ręce trzeszczały w stawach i trzęsły się ku „wielmożnemu” konwulsyjnym ruchem, oczy otwierały się coraz szerzej, głos chrypiał. Począł się wreszcie Onufer na kolanach ku fotelowi czołgać, powtarzając: „Panie *miłosierdny!* Panoczku *miłosierdny!*...”.

Czołgał się powoli, ciężko, ciągnąc za sobą grube swoje, obwinięte szmatami nogi jakby wielki, wielki, wielki ciężar.

Widok był tak straszny, że mimo woli złożyła ręce i pochyliła się ku nieszczęślikowi.

A wtedy pan nadzorca wstał i rzekł suchym głosem:

— Na dwadzieścia cztery godzin!

Więzień, Kondycja ludzka,  
Cierpienie

Szaleństwo

Więzienie, Pozycja  
społeczna, Władza

Strach, Rozpacz

Zakotłowało się u proga, strażnicy przy pomocy Osmólca chwycili olbrzymiego chłopca, pchnęli go, po czym drzwi się zamknęły, a ciężkie kroki oddalających się cichły stopniowo w długim korytarzu więziennym.

2

Na kilka tygodni przed wyżej opisaną kancelaryjną sceną jedno z pism miejscowych podało następujący artykuł:

„Sądowa izba warszawska rozpatrywała w dniu wczorajszym na pełnym posiedzeniu sensacyjną sprawę o zabójstwo kupca N., właściciela sklepu towarów kolonialnych w X., spełnione w miesiącu wrześniu r.b.

Sprawa ta po wysłuchaniu oskarżonego i świadków przedstawia się, jak następuje:

Przed dwoma blisko laty kupiec N. przyjął na parobka Onufrego Sęka, pochodzącego ze wsi Witaszewice<sup>56</sup>, powiatu X, guberni X, który po nastąpieniu także pogorzelem<sup>57</sup> do miasta, szukając zarobku, przybył. Powołani świadkowie zgodnie zeznają, iż Onufer Sęk obowiązki swoje sumiennie pełnił, dobra pańskiego wiernie pilnował, trzeźwy był, uczciwy i spokojny.

Co zaś do osoby samego kupca N., utrzymują oni, iż dla służby był srogim, źle ją żywił i w wypłacie zasług krzywdził. Zeznają dalej świadkowie, między którymi jest wielu dawnych sług zabitego, iż żaden z nich dłużej nad kwartał w służbie tej wytrwać nie mógł, a byli i tacy, którzy ją już po kilku dniach rzucali. Gdy zaś przy wzrastającej zgryźliwości i porywczoci charakteru kupca N., który, bezzennym będąc, sam gospodarstwo prowadził, coraz trudniej o ludzi było, Onufer całą robotę w domu i w sklepie sam spełniać musiał, gotując przy tym i usługując do stołu pryncypałowi. Usługiwanie to i gotowanie najwięcej mu się przykrzyło. Kupiec bowiem, ilekroć mu parobek w czym nie dogodził, rzucał w niego to szklankę z wodą, to widelec, to talerz z zupą, tak iż w kamienicy zwyczajną było rzeczą widzieć parobka poparzonego, pokrwawionego, z sińcami i guzami na głowie i twarzy. Dziwiono się powszechnie, dlaczego Onufer innej sobie służby nie szuka, ale źle płacony, lichy żywiony i codziennie poniewierany mimo to pana swego się trzyma. Ci, którzy na uczciwość i pracowitość parobka z bliska patrzyli, podejmowali się nawet dobre miejsce mu nastęczyć, ale Onufer odstać od kupca nie chciał. Po każdej nowej krzywdzie widziano go, jak, siedząc na schodkach od podwórza, gorzko płakał, ale gdy kupiec na niego zawołał, łzy ocierał i znów do roboty stawał. Tajemnicą tej wytrwałości było niezmiernie przywiązanie parobka do dwunastoletniego Julka, chłopca sklepowego, sieroty, który, równie poniewierany jak Onufer, miejsca przecież opuścić nie mógł, ponieważ oddany tam został przez opiekuna swego, a zarazem powinowatego kupca N. Jeden ze świadków opowiada, że nieraz widział, jak chłopczyzna z płaczem na piersi parobkowi się rzucał i jak Onufry pocieszał, głaskał i całował sierotę; jak go nawet na ręce brał niby małe dziecko. Sympialali też razem na pawlaczu w kuchence, a kiedy parobkowi udało się kilka złotych zasług otrzymać, to buty chłopca do podziółki dawał, choć sam w drewnianych trepach tylko chodził, to mu czapkę kupił, to nawet brudne koszule Julka sam nocami pierał, za uprasowanie ich płacąc stróżce parę groszy. Sierota też całym sercem do parobka przyrósł, a kiedy widział, że Onufer nad dolą swoją płacze, przynosił mu to parę kawałków cukru, to kilka rodzynków, rzucał mu się na szyję i póty go całował, póki się Onufer nie rozjaśnił.

W niedzielę, dnia szóstego września, to jest w dniu, w którym zabójstwo spełnione zostało, Julek do opiekuna swego od rana jak zwykle w święto poszedł, parobek zaś obiad zgotował i na stół podał. Pan jego był w wyjątkowo złym humorze i pod pretekstem, że zupa przesolona została, wazkę cynową

Praca, Krzywda, Pozycja społeczna, Przemoc

Sierota

Morderstwo

<sup>56</sup>Witaszewice — polska wieś, położona w województwie łódzkim. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>pogorzel (daw.) — pogorzeliśko. [przypis edytorski]

z gorącym krupnikiem w twarz parobkowi cisnął, po czym, resztę obiadu zjadłszy, na sofkę w stołowym pokoju stojącą dla poobiedniej drzemki się położył. Parobek się tymczasem wyplakał, obmył i ze stołu sprzątać bez żadnej złej myśli przyszedł, gdy jednak dręczyciela swego uspionego zobaczył, złość i żal w nim zakipsała, chwycił wielki gwicht<sup>58</sup>, w kącie pokoju na decymalnej<sup>59</sup> wadze stojący, i, uderzywszy nim śpiącego w głowę, na miejscu zabił. W tej właśnie chwili wbiegł na próg powracający Julek i, zobaczywszy trupa, który się z sofki na ziemię stoczył, zakrzyknął. Onufer bezprzytomnie ku niemu się rzucił, za szyję chłopczynę chwycił i trzymanym jeszcze w ręku gwichtem w głowę go ugodził. Krew i mózg bryznęły wysoko na ścianę, a chłopiec jak stał, tak padł, raz tylko krzyknąwszy... Przybyłym w parę godzin po katastrofie przedstawił się następujący widok:

Kupiec N. leżał na podłodze martwy tuż obok wybitej skórą sofki, przy drzwiach zaś mały, rozciągnięty na ziemi sierota z głęboko pękniętą czaszką.

U nóg chłopca leżał wpół nieprzytomny parobek, ściskając jeszcze morderczy gwicht w ręku.

Ujęty nie bronił się i do spełnionego podwójnego morderstwa od razu się przyznał. Ma on lat 25, a odznacza się niezwykle silną budową i olbrzymim wzrostem. Gdy mu na sali sądowej przedstawiono poplamione krwią ubranie zabitego chłopca, zachwiał się i padł zemdłony. Publiczność jest niezwykle zajęta tą nader sensacyjną sprawą, o której dalszym przebiegu czytelników naszych poinformować nie zaniechamy”.

3

— A cóż tam z Onufrem? — zapytałam raz starego Jakuba, spotkawszy go na schodach.

Jakub spojrział na mnie z namysłem, tabakierkę dobył i, zanurzwszy w niej swoje wyschłe, sękaty palce, rzekł: Phi!... Cóż ta już Onufrowi! Wczora minął tydzień, jakieśmy go pochowali.

— Jak to? Umarł?

— A umarł.

— I z jakiej choroby?

— Choroby — odrzekł Jakub, z wolna otrząsając szczyptę — to tak akuratnie żadnej nie miał. Przecie mu i felczer<sup>60</sup> pijawki stawiał, i pan doktor mu proszki dawał, to jakby miała być jaka choroba, to by się i pokazała. A tu nic!

Zażył tabakę, zmrużył oczy, pociągnął nosem i tak mówił dalej:

— Tak mu oto błąd jakiś do głowy przystąpił, że umarł.

— I cóż to było?

— Cóż to miało być! Bieda była i tyle!

Obejrzał się na lewo, obejrzał się na prawo, a potem rzekł:

— Bez te ostatnie czasy to już nawet i pod numerem nie siedział, bo z nim insze aresztanty wytrzymać nie mogły, a co i raz to dalej go, bijatyka. Aż go „wielmożny” na osóbkę w komórce obsadził, tam, gdzie te szewcy skład na skóry wprzód mieli. Jak go też „wielmożny” obsadził na osóbkę, tak się wieszac chciał. Ano dobrze. Ale żeśmy go oderżnęli i do ciemnej coś na tydzień poszedł, więc już się tego potem nie chwycił. Ale i tak wskórania z nim nie było. Dzień jak dzień. Ale jak tylko Pan Bóg noc dał, tak do mego Onufra zara błąd przystępuje. Ino chodzi, ino ręce składa, ino cości prawi, a stęka, a płacze, aż ograża<sup>61</sup> człowieka słuchający. A precz się prosi, żeby go na powrót pod numer dać. „Jakże cię pod numer dać — pedam<sup>62</sup> — kiedy cię tam insze aresztanty tłuką?” — „A niech mnie ta tłuką — peda — niech i zatłuką, żeby ja aby sam nie siedział!”. Ale

Śmierć, Więzień

Kara, Okrucieństwo,  
Sumienie, Szaleństwo,  
Strach

<sup>58</sup>*gwicht* (daw.) — odważnik. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*decymalny* — dziesiętny; waga decymalna to przyrząd, używany do wyznaczania dużych ciężarów za pomocą odważników dziesięciokrotnie lżejszych. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*felczer* (daw.) — osoba uprawniona do wykonywania nieskomplikowanych zabiegów medycznych. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*ograżać* (daw.) — mieć dreszcze, trząść się. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*pedać* a. *padać* (gw.) — powiadać, powiedzieć. [przypis edytorski]

„wielmożny” przykazał, co by w komórce został. Tak patrzę ja raz przez luft<sup>63</sup> we drzwiach, a miesiąc tak stał na niebie jako rybie oko i cała ona komórka aż biała była od jasności, a tam mój Onufer w kącie plecami do muru przyparty w jednej koszuli jak ten świętek<sup>64</sup> stoi, ręce złożone przed sobą trzyma, nogi się pod nim trzęsą jak w zimnicy<sup>65</sup>, a on sam dopiero tak się modli, tak molestuje, właśnie jakby tam kto przed nim stał.

— O moje dziecko — peda — o moje kochające! Czemuś ty wtedy wyszło w złą godzinę? O moje dziecko najmilsze! Toć ja ciebie ubić nie chciałem! Toć ja ciebie jak własną duszę miłowałem!

Patrzę ja, wytrzymasz oczy, nikogo w komórce nie ma, a ten się precz trzęsie a modli.

— O moje dziecko, odpuść ty mnie — peda — odpuść ty mnie swoją śmierć niewinną! O moje dziecko najmilsze — peda — kochanie moje najśodsze!

Tak ja do niego: „Onufer! Co z tobą?”. Tak on nic, tylko patrzy na mnie jak błędny. Tak ja do „wielmożnego”. Tak i tak, wielmożny panie, baczenie mieli po onym wieszaniu! Tak „wielmożny” idzie, patrzy, akuratnie wszystko prawda. Chłop w jednej koszuli stoi i trzęsie się jak ta osika w boru. Tak „wielmożny”, że to miłosierne serce ma, zaraz mi kazał świecę wziąć, zapalić i Onufrowi ją z latarką w komórce postawić. Tak się dopiero ono chłopisko układło.

Umilkł i zażył tabaki, po chwili zaś tak mówił dalej:

— Ale mu ta i tak nie plażyło<sup>66</sup>. Jedzenie to i do trzeciego dnia stało, jakem nie zabrał, a prosiętom pana sekretarza nie dał. Tak chłop wychudł, że się tylko skóra ponapinała po kościach, a tak szczerniał jak ta święta ziemia. Aż go też do lazaretu<sup>67</sup> wzięli. Jak go też do lazaretu wzięli, tak mój Onufer do cna skapiał<sup>68</sup>. Leżeć nie leżał, chorować nie chorował, tylko tak sobie co nieco do głowy dopuszczał, po całych dniach pacierz mówił, w piersi się bił, a już jak wieczór przyszedł, to ino cości po kątach upatrował i do onego chłopaka, co go pono ubił, jakby do żyjącego gadał, i różnie go ta nazywał, że i rodzony ojciec lepiej by nie potrafił. Aż też jednej nocy zmarło ono chłopisko, w kącie klęcząc. Józef, ten czarny z lazaretu, co go z Szymonem na tapczan z onego kąta wyniósł, powiadał, że taki był letki jak ten snop omłócony... Aż im dziwno było.

Zanurzył dwa palce w tabakierkę i wziął sporą szczyptę, utrzęsając z niej po trochu i w palcach ją ważąc.

— A cóż Osmólec? — zapytałam jeszcze.

Stary nie odpowiedział zrazu, ale obejrzał się na lewo, obejrzał na prawo i, wzięwszy tabakę, nosem kilka razy czmychnął<sup>69</sup>.

— Iii... Cóż tam Osmólec! — rzekł wreszcie. — Takiemu Osmólcowi biedy nie ma! Trzeci raz tu już siedzi, więc jest we wszystkim człowiek znający. Ano wziął go „wielmożny” do siebie, do kredensu...

<sup>63</sup>luft (daw.) — tu: otwór. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>świętek — ludowa figurka świętego. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>zimnica — malaria. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>plażyć (daw., gw.) — podobać się, służyć, iść na zdrowie. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>lazaret — szpital wojskowy lub więzienny. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>skapieć (daw.) — zmarnieć, zginąć. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>czmychnąć — tu: gwałtownie wypuścić powietrze przez nos. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/konopnicka-obrazki-wiezienne>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, *Obrazki więzienne*, wyd. Arcanus, Bydgoszcz 1990.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-6746-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).